

Rozdział 1. Miłopole

Podróż przedłużała się okropnie. Matylda przestała rozplaszczać nos na bocznej szybie samochodu i zapytała:

- Ale dostanę swoją grządkę w ogrodzie?
- Mhm – mruknął zajęty obserwowaniem drogi tato. – Zapewne. Już raz pytałaś.
- A będę mogła hodować na niej kwiaty?
- Mhm, zapewne. To nie jest najlepsza pora na rozmowę.

Matylda ma dziewięć lat, więc rozumie, że to nie jest najlepsza pora na rozmowę. Kłopot w tym, że jadą do nowego domu i Matylda chce wiedzieć o nim jak najwięcej, jeszcze zanim go zobaczy. Tato kupił dom ponad miesiąc temu przez pośrednika z Biura Sprzedaży Nieruchomości. Pośrednik to taki ktoś, kto cię wyręcza w zakupach. Tak

powiedział tato, ale Matylda nie zrozumiała tej mądrości, ponieważ wolała robić zakupy sama.

Tato jest dobrym kierowcą, tylko niestety łatwo się gubi, więc teraz zabłądzili i nie mogą znaleźć właściwej drogi. Odpowiedzialna osoba, a taką jest pan Marcin Michalski, tato Matyldy, bardzo się przejmuje, kiedy nie może znaleźć właściwej drogi. Najlepsza pora na rozmowę byłaby wówczas, gdyby dojeżdżali na miejsce. Albo gdyby już byli na miejscu i pili herbatę na tarasie wśród kwitnących pelargonii.

– Tato, czy w naszym domu jest taras? – Matylda podniosła się na siedzeniu, by zerknąć w lusterko wsteczne.

– Jest. Oczywiście, że jest. – Zmęczone bladoniebieskie oczy spojrzały na nią z lusterka. – Pozwól mi się skupić, dobrze?



– Dobrze – dziewczynka westchnęła smutno, a potem wyjęła z koszyka, który trzymała na kolanach, nieduże zdjęcie w żółtej ramce wyklejonej białymi muszelkami.

Na zdjęciu jest roześmiana mama w zielonym jednoczęściowym kostiumie kąpielowym. Mama leży wsparta na łokciach i ma nogi do połowy zasypane piaskiem. Z lewej strony widać rękę Matyldy z czerwonym wiaderkiem pełnym piasku, a także kolano i kosmyk jasnych włosów. Za plecami mamy jest kawałek plaży i spieniona morska woda. Zdjęcie było zrobione zeszłego lata w Międzyzdrojach. Teraz, od wielu miesięcy, mamy nie ma, a Matylda jest okropnie smutna. Tak smutna, że zapomniała, jak się uśmiechać.

Pocałowała mamę i poczuła się nieco lepiej. Nie żeby od razu dobrze, o nie. Od jedenastu miesięcy i ośmiu dni ani razu nie czuła się dobrze.

– Aha! – odezwał się tato z ożywieniem. – To właśnie to skrzyżowanie, od razu poznałem!



Matylda znów przykleiła nos do szyby, żeby lepiej widzieć. Zbliżyli się do zielonej tablicy z nazwą miejscowości.

– MIŁOPOLE 10 – przeczytała bezgłośnie. – Nareszcie – odetchnęła z ulgą.

Wcześniej obawiała się, że będą jeździć tak długo, aż tacie zabraknie pieniędzy na paliwo i zamieszkają gdzieś przy drodze, w samochodzie.

Ten samochód nie był taki zły jak poprzedni. Tato kupił go niedawno w komisie z używanymi autami. Pachniał jakoś dziwnie, trochę frytkami, trochę starym skórzanym płaszczem. Poprzedni samochód pachniał o wiele przyjemniej, ale po wypadku trafił na złomowisko, bo nie nadawał się do naprawy. Zresztą nawet gdyby się nadawał, Matylda za żadne skarby nie wsiałaby do samochodu, który zabrał jej mamę. Pomrugała chwilę, żeby nie płakać.

– Bardzo miła nazwa, prawda? – zapytała. Skoro dojeżdżali, pora na rozmowę stała się lepsza niż wcześniej.

– Miłopole? Przyjemna – zgodził się tato. – A jaka piękna okolica, ho, ho, ho! – zaśmiał się, naśladując Świętego Mikołaja.

Miał nadzieję, że w nowym domu Matylda pogodzi się ze stratą i znów stanie się pogodna, tak jak kiedyś. Nie wiedział niestety, że Matylda wcale nie zamierza stać się

pogodna, bo to według niej znaczyło zapomnieć o matce. Śmiech Świętego Mikołaja wcale jej nie rozweselił.

– Dom też niczego sobie – dodał markotnie, nie doczekawszy się reakcji córki na wzmiankę o pięknej okolicy. – Jeszcze pięć minut i go zobaczysz. Jest dosyć stary, ale bardzo ładny.

– Fajnie – westchnęła z nadzieją. Wcześniej nie mieszkała w prawdziwym domu, a jedynie w mieszkaniu. A mieszkanie, choćby było duże, jak tamto, to nie to samo co dom.

Droga do Miłopola ciągnęła się wzdłuż rozległych połażdowanych pól złocących się dojrzewającymi kłosami pszenicy, pośród których Matylda widziała pojedyncze czerwone kropki przekwitających maków. Odkręciła szybę, by poczuć ich zapach. Powietrze pachniało kurzem i suchą słomą.

Kiedy minęli pierwszy dom we wsi, Matylda pomyślała, że być może spodoba się jej tutaj. Nie zdążyła mu się dobrze przyjrzeć, gdy pojawiły się kolejne. Większość z nich zbudowano z cegieł, a na dachach czerwieniły się grube dachówki. Były też takie, które miały ściany z drewna pomalowanego na zielono i niebiesko. Te kolorowe wyglądały na bardzo stare, a ich dachy pokryte połataną papą przeżyły niejedną burzę, ulewę i wichurę.

Przed każdym domem znajdował się wąski ogródek, pełen barwnych kwiatów wyczernających na drogę pomiędzy sztachet niewysokich płotów. Znad płotów zaś i z otwartych okien zerkali na nich zaciekawieni mieszkańcy. Matylda pomachała im ręką, żeby wiedzieli, że jest przyjaźnie nastawiona.

– A teraz zamknij oczy, Mati – odezwał się tato. – I nie podglądaj.

Zamknęła. Samochód zakołysał się na nierównej nawierzchni, zaraz potem usłyszała głuchy stukot kół o deski.

– Już możesz otworzyć.

Otworzyła i zobaczyła swój dom. Dom też ją zobaczył i mrugnął do niej z tajemniczym uśmiechem na ceglanej twarzy.